

Solo



Ramoljojo





Sam na grani



Jeszcze długa droga przede mną tego dnia... Widok z Firmisanschneide



Mam nadzieję cel jeszcze na ten sezon: Hintere Schwarze

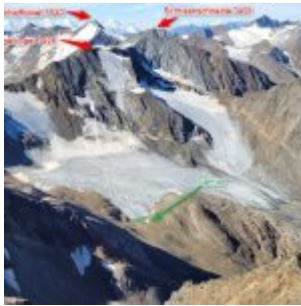




Schalfkogel



Grań prowadząca na Ramolkogel



Widok z Ramolkogel



Zdobycze pierwszych dwóch dni od Anichspitze (z prawej) po Schalfkogel (ze śniegiem na końcu grani)



No comment :)





Widok z Vorderer Brochkogel

Wstęp

O samotnym wypadzie w Alpy pierwszy raz pomyślałem jakoś 2 lata temu. Być może miało to związek z wyskokiem na Hinterer Brochkogel (3628), podczas gdy reszta ekipy kontynuowała zejście z Wildspitze (3770) do miasteczka. Rok wcześniej zaliczyłem niemal spacerowy Böses Weibl (3119), a jeszcze wcześniej całkiem wysoki Piz Morteratsch (3751) oraz Leibnitzer Rospitzen (3101).

Ostatnie 2 sezony przeminęły, a plany zrealizowałem na tyle, na ile pozwoliły prognozy (pogoda była wyjątkowo kapryśna) oraz terror parapandemiczny. I tak uporem tylko i naszą determinacją nie straciliśmy 2 lat pod kątem alpejskim.

Dopiero w 2022 roku stwierdziłem, że czas najwyższy powrócić do tego pomysłu. Tym bardziej, że poukładały się pod to korzystnie wszelkie możliwe czynniki, których nie będę tu wymieniał. O jednym jednak wspomnę, bo ma to niemałe znaczenie pod kątem tej przygody, oraz innych górskich planów, jakie zamierzam realizować w przyszłości: w Alpach czuję się już zdecydowanie pewniej, niż kiedyś. Właściwie od jakiegoś już czasu czuję się tam tak, jak się pewnie czują turyści, którzy co roku przyjeżdżają w to samo miejsce nad Bałtykiem. Coraz mniej jest mnie w stanie zaskoczyć, a wszelkie nieplanowane zakłócenia i trudności udaje się pokonać dzięki instynktowi i doświadczeniu.

W poniższej relacji opiszę własne doświadczenia i przemyślenia, jednocześnie oddzielając od niej (w takich właśnie ramkach) informacje praktyczne. Czyli takie, które mogą ułatwić innym realizację podobnych planów w tamtych rejonach.

Dojazd

Tego bałem się najbardziej i to była jedyna wątpliwość, która spowodowała, że byłem o krok od zrezygnowania z mojego planu. Najpierw umieszczałem ogłoszenia w grupach górskich, że szukam ekipy do samego dojazdu nie wierząc, że mogę ten dystans sensownie (czas, kondycja) przejechać sam. Po miesiącu bez odzewu zmieniłem ton i szukałem już partnerów włączając w to wyjście w góry. Mimo kilku postów na FB nie było odzewu i to było dla mnie zaskoczeniem. Tuż przed wyjazdem liczyłem jeszcze, że zdecyduje się na wyjazd ktoś z moich bliższych, sprawdzonych kompanów, ale kiedy już było wiadomo, że nikt ze mną nie pojedzie trzeba było podjąć męską decyzję.

Co sprawiło, że jednak zdecydowałem się pojechać? Po pierwsze, w rozmowach z ludźmi sam sobie uświadomiłem, że mam już za sobą długie trasy, gdzie mimo zmienników to ja spędziłem zdecydowaną większość czasu za kierownicą (Macedonia, Gibraltar, Pireneje, liczne wyjazdy w Alpy). Po drugie: doskonała prognoza pogody, a tego nie można zmarnować. Po trzecie: dobre przygotowanie teoretyczne (studiowanie opisów i map), praktyczne (wcześniejsze wizyty w tamtym rejonie) i fizyczne (w wieku 42 lat „nabawiłem się” szczytowej formy).

Rady przypasują podróżującym z Wrocławia lub porównywalnej części Polski (czyli nie dla alpinistów z Suwałk lub Lublina):

Wyjeżdżając wieczorem omijamy popołudniowe korki i zyskujemy w pierwszych godzinach najwięcej pokonanych kilometrów. Od 18 do 23-ciej (w moim przypadku była to 21:00-02:00) jesteśmy w stanie urwać nawet 600km i wciąż mamy przed sobą noc, którą możemy przespać. Z racji tego, że lepiej się śpi

na spokojnym i ciemnym parkingu proponuję wybrać trasę przez Regensburg (93), a nie przez Nurnberg (9). Mam wrażenie, że jest mniej ruchliwa a parkingi bardziej spokojniejsze i mniej oblegane. Rano startując w dalszą trasę nawet o godzinie 6-tej wciąż mamy dużą szansę dojechać grubo przed południem na miejsce. A to oznacza, że jeszcze tego samego dnia możemy znaleźć się odpowiednio wysoko, rozłożyć obóz i wyspać.

Vent

Do parkingu przy kaplicy dojeżdżamy skręcając w Vent w lewo w drogę do wyciągu krzesłkowego. Najpierw po lewej mamy parking pod wyciągiem (5€ za dobę), a następnie, zaraz za płotem jest darmowy parking pod kaplicą. Warto wspomnieć o jeszcze jednym parkingu, tuż przed wjazdem do miejscowości. Tam, podobnie jak pod wyciągiem doba kosztuje 5€. Jak darmocho. Vent jest bardzo małą miejsciną, więc to wszystko jest w zasięgu paruminotowych spacerów i nie ma większego znaczenia (poza finansowym) gdzie zaparkujemy.

Ja dotarłem do Vent koło 12-tej, zatrzymałem się na parkingu przy kaplicy i zacząłem się z lekka telepać. Trzęsącymi się rękami przygotowałem jedzonko, a potem spakowany ruszyłem na szlak. I zaraz po 50 metrach zawróciłem do auta bo zapomniałem Litorsalu. Uff, ryzykowanie postąpiłem nie pakując go od razu do plecaka. Zrobiłem to dlatego, że od godziny dotarcia na miejsce zależne było, którą pierwszą górę wybiorę i czy będzie to góra z biwakiem, czy pokonam ją na jeden strzał.

Zdecydowanie polecam już w domu spakować do plecaka wszystko to, co zamierzamy zabrać w góry. Strategia, że dopiero na miejscu dopakuję okulary przeciwsłoneczne ze schowka w aucie, czołówkę z kieszeni bocznych drzwi i rękawiczki z torby podróżnej powoduje najczęściej nerwówkę w stylu „o czymś miałem pamiętać, ale co to było?!”.

Szlak

Trasa do Ramoljoch od kaplicy/wyciągu najpierw prowadzi przez mostek, a następnie wychodzimy na ulicę znajdującą się powyżej i zobaczymy furtkę i wyraźne oznaczenia w postaci strzałek. Nasz szlak wyznaczają strzałki: „Ramolhaus 5h”, „Ramoljoch 4,5h”, oraz „Ramolalm 1h”. Dalsza trasa jest jasna, intuicyjna i prowadzi niezmiennie pod górę. Wpierw stromo przez las, potem stromo przez trawiaste zbocza, a potem – już mniej stromo – przez gruzowiska powstałe z osypujących się z lewej skał.

W [relacji z 2017 roku](#) wspominałem o platformach i dostępnej w pobliżu wodzie na wysokości około 2800 metrów. Niestety w 2022 roku nie było już ani śladu po płynących tam strumykach. Podszedłem zatem nieco dalej i wyżej i dopiero przy samym języku lodowca wypatrzyłem miejsce mogące się nadawać do rozbicia namiotu. To był złoty strzał, bo miejsce miało same zalety:

Biwak

Miejsce przy lodowcu:

- jest na wysokości około 3000 m n.p.m., więc gwarantuje nam to łatwy i szybki dostęp do przełęczy i okolicznych szczytów,
- jest stosunkowo szybko dostępne z Vent (do pokonania jest 1100 mH i zajmuje to 3-4h),
- jest wystarczająco daleko od szlaku, by nasz namiot (jeśli ma maskujące barwy) nie rzucał się w oczy,
- mamy zapewnioną przez całą dobę czystą wodę wypływającą z jeziora powstałego z topniejącego lodowca,
- mamy nieograniczoną ilość kamieni do utwierdzenia namiotu lub do zbudowania murku.

Jedyną co mi teraz pozostało, to dłubanie słonecznika, którego zabrałem spory zapas, oraz wypoczywanie.

11.07.22 – dzień 1: Hintere Spiegelkogel (3426), Firmisanschneide (3491), Schalfkogel (3540)

Wychodzę koło 5:15, szybko dostaję się na przełęcz Ramoljoch (3182) i skręcam na grań w prawo. Od tej pory, przez najbliższe 5,5h będę się poruszał ściśle cały czas granią. I tu niemiła niespodzianka: buty, w których mam okazję poruszać się w Alpach po raz pierwszy jeżdżą po skale niczym wrotki. Najmniejsza wilgoć na skale powoduje, że czuję się jakbym w klapkach wspinał się po gładkim lodzie. Grań nie jest trudna (wycena I, czyli coś, co osobiście nie klasyfikuję jako wspinaczki), jednak jest tak eksponowana, że poślizgnięcie się i upadek to gwarantowana tragedia. Idę bardzo ostrożnie, skupiam się na każdym kroku, równo, powoli, bez podbiegów. Bardzo szybko docieram na Spiegelkogel i wpisuję się do książki wpisów.

Następny w kolejce czeka Firmisanschneide. Trudności są wciąż te same, czyli wystarczy pewny krok i tylko sporadycznie pojawiają się trudności w postaci kruszyny (co może po prostu oznaczać, że zszedłem ze szlaku) lub urozmaicenia w postaci większych bloków skalnych do pokonania (co również może być znakiem, że gdzieś obok jest łatwiejsza ścieżka). Te trudności mieszczą się jednak w kategoriach „potrzymaj mi piwo” i są niezwykle przyjemnym dodatkiem do wspaniałych widoków. Tym bardziej, że skała zdążyła już wyschnąć, a problemy z butami przestały być aktualne.

Książka wpisów na szczycie kompletnie zgnita i przemoczona. Taka papka w kształcie kostki, no trudno.

Przede mną najdłuższy fragment grani: najpierw schodzę na Firmisanjoch, a następnie docieram do śniegu przed samym szczytem Schalfkogela. Ten fragmencik pokonuję z rakami na nogach. Pewnie w Meindlach bym sobie te raki odpuścił, ale tym butom, które mam na sobie nie mogę ufać. Jest jeszcze jedna rzecz: nie czuję się idealnie. Typowa lekka wysokościówka, co trochę jest dla mnie zaskoczeniem, bo przecież kręcę się cały czas w okolicy 3500 m n.p.m. Czas mam i tak dobry, bo gdy idę

samemu to nie odpoczywam. Ale zupełnie nie szarżuję, jak to mam w zwyczaju, żadnych podbiegów, zeskoków, po prostu z uporem, równo do przodu. Nie bardzo chce mi się pić ani jeść, więc wiem, że będę szybko tracił siły. Dlatego lepiej nie marudzić tu za długo tylko zrobić robotę i wracać do namiotu. Robię fotki na Schalfkogel i ponownie schodzę na Firmisanjoch.

Zaczyna się najbardziej problematyczny fragment dzisiejszej wycieczki: odnalezienie drogi zejściowej do schroniska. W paru miejscach widzę daleko na śniegu ślady i ufając intuicji zaczynam schodzić w ich kierunku. Droga nie jest oczywista, przede mną są spore spadki terenu i do końca nie wiem czy zaraz nie stanę w martwym punkcie nad przepaścią. Cieszę się, kiedy w końcu docieram do śladów i co widzę? To odciski spadającego kamienia! Zły strzał tym razem, ale bez dramatu, bo wkrótce natrafiam na szlak. Potem gubię go jeszcze raz i czuję lekki niepokój, bo co z tego jak majączy przede mną schronisko na skale, jak ja nie wiem jak do niego dotrzeć. Na grani wszystko było oczywiste i nie dało się zabłądzić. Tu po raz pierwszy sprawdzam na telefonie pozycję na OSM i widzę, że szlak jest dosłownie odrobinę poniżej. Pewnie jakbym się pokręcił to obeszło by się bez takiego oszustwa, ale po co komplikować sobie życie, no i trzeba oszczędzać siły na jutro.

Przed schroniskiem orzeźwiający wodospad, w którym obmyłem twarz z trudów dnia i z kremu do opalania. Tak odświeżony zawitałem do schroniska i zamówiłem zimne piwko. Pani zerka na mój dokument kiedy wyciągam banknot i mówi do mnie po polsku „duże piwo poproszę”, czym mnie totalnie zaskakuje. Dowiaduję się, że obsługa pochodzi z Czech.

Po tym piwie tak się zregenerowałem, że przez moment zastanawiam się, czy jeszcze na Ramolkogel nie pójść. Na szczęście szybko mi ta ochota mija. Teraz tylko wdrapać się niecałe 200m na Ramoljoch i zejść tyle samo w dół do namiotu.

Jest wczesna pora, ale ja resztę dnia już leżę tylko i dogorywam. Czuję się, jakbym był na 4000 m n.p.m. Wprawdzie

żadnego bólu głowy, ale taki jakiś przeżuty jestem i bez apetytu. W sumie czemu się dziwić, dziabnąłem dobre kilka kilometrów grani, potem drugie poniżej plus całe podejście i zejście z Ramoljoch. Uzbierała się spora kupa metrów wysokości oraz kilometrów dystansu.

05:15 – start z namiotu (3000)
05:40 – Ramoljoch (3189)
06:25 – Hint. Spiegelkogel (3426)
07:45 – Firmisanschneide (3491)
10:20 – Schalfkogel (3540)
12:30 – Ramolhaus (3006)
14:15 – namiot (3000)

Te 9h uwzględniają zarówno marsz, jak i postoje na szczytach lub w trasie. Tego dnia spędziłem nieco więcej czasu (po ok. 15 minut) na każdym ze szczytów oraz w schronisku (55 minut). Poza tym – wyłączając paruminotowe przystanki – szedłem niemal cały czas spokojnym, lecz równym tempem. Mimo pięknej pogody nikt poza mną tego dnia na grani się nie pojawił.

12.07.22 – dzień 2: Großer Ramolkogel (3550), Anichspitze/Nördlicher Ramolkogel (3428)

To ważny dla mnie dzień! 5 lat myślałem o Ramolkogelu i to właśnie dziś mam odhaczyć tę górę, której z niewiadomych przyczyn autentycznie się boję. I jak się dziś okaże – nawet słusznie.

Z namiotu startuję godzinę później niż wczoraj, czyli koło 06:20. Po wczorajszych doświadczeniach z „jazdą na wrotkach” chcę mieć pewność, że skała będzie już sucha. Znow wchodzę na Ramoljoch i tym razem tracę zdobytą wysokość schodząc z drugiej strony. Teraz w lewo w kierunku przełęczy, trochę po kamieniach, trochę po lodowcu, trochę po piargach i na koniec znow po lodowcu. Przez cały czas bliżej prawej strony (patrzac

w górę), a na koniec podążając dosłownie tuż przy skałach po prawej. W rakach wygodniej, choć stromizna nie jest jakaś imponująca i okazuje się, że jedynie z daleka straszyła.

Od siodła do samego szczytu wspinamy się po grani. Trudności niemal cały czas II, do tego bardzo przepaściście i nie wszystkie skały wyglądały stabilnie. Kilka razy miałem wątpliwości, czy nie będzie problemu z zejściem. Zaskoczeniem był dla mnie fakt, że prawie cała grań była obita. W żadnej relacji nikt o tym nie wspominał, zresztą plakietki wyglądały jakby wczoraj zostały z paczkomatu wyjęte, więc ewidentnie świeża sprawa. W ogóle zdziwiłem się trochę i jednocześnie bardzo ucieszyłem, że widać ludzkie ślady. Najbardziej się chyba bałem tego, że grań okaże się zupełnie niechodzona. Pojawiały się o tym szczycie opinie, że jest niesprawiedliwie mało doceniany i niepopularny. Być może się to zmienia.

Wspinaczka wymagała skupienia i uwagi przez niemal cały czas, ale z charakterystycznych punktów podczas wejścia opiszę tylko jeden, ale to za chwilę. Po wejściu na Mitteler Ramolkogel szczyt wydaje się bardzo blisko, jednak gdy się patrzy na dalszą drogę to jednocześnie sukces wydaje się być jeszcze daleko. Niczym w transie, w skupieniu na chwytach i stopniach i za dużo nie myśląc, docieram do charakterystycznych 2 dużych skał tworzących między nimi wąskie przejście, co najwyżej szerokości człowieka. I tu był wspomniany punkt krytyczny.

Najpierw próbowałem w miejscu za przesmykiem między wspomnianymi wyżej skałami. Dało się tam przejść po skałach zawieszonych nad bardzo stromym żlebem. Jednak bloki te zdawały się wisieć w próżni zahaczone w jakiś niezrozumiały i niepewny sposób o grań. W głowie nieustanna kalkulacja, czyli coś, co robię przez cały czas gdy napotykam trudności w górach:

- + za łatwy teren żeby się zsunąć, a nawet gdybym spadł to jest szansa, że pomimo bardzo stromego terenu poniżej nie połamie się i wyhamuję,
- jeśli spadnę to na bank tylko i wyłącznie przez to, że

polecą te skały, których się będę trzymał i po których będę szedł, a wtedy kaplica.

Ten problematyczny odcinek jest bardzo krótki i jakbym miał długą tyczkę to wychyliłbym się i dotknął wąskiego siodełka, gdzie teren wygląda już na łatwiejszy. Przychodzi mi do głowy myśl, żeby zawrócić. Wracam przez przejście między skałami i wpadam na dziwny pomysł, żeby zadzwonić do żony i powiedzieć jej, że się poddam. Chyba podświadomie liczę, że usłyszę (i to byłoby bardzo możliwe) coś w stylu: „Przestań się mazgać tylko idź na szczyt”. Wyciągam telefon i widząc, że jest zasięg decyduję się najpierw odpalić po raz drugi na tym wyjeździe OSM i zobaczyć, jak daleko do szczytu. Aplikacja pokazuje: 70m w linii prostej. 70m! Nie poddam się!

Próbuję ściśle granią. Na szczycie skały widzę pętelkę z repa. Jak do niej dojść?! Wspięcie się tam to już co najmniej wspinaczkowe III no i pozostaje jeszcze obawa: a jak ja stamtąd zejść bez liny?

Po paru macankach ze skałą i szukaniu chwytów i stopni decyduję powrócić do szpary między skałami na drodze, którą próbowałem jako pierwszą. Wybieram wariant, na który wcześniej nie wpadłem. Schodzę w stromy teren trzymając się jedynie przez chwilę jednego z dwóch bloków skalnych, które mnie wcześniej odstraszyły. Następnie w pyle i kruszyźnie przemykam pod wspomnianymi skałami, które prędzej czy później bez ostrzeżenia runą w przepaść, wdrapuję się na wąskie siodełko i bingo! Teren robi się już łatwiejszy, dochodzę do krótkiego odcinka śniegu. Mimo, że jest to tylko parę metrów używam tu czekana, po czym zostawiam go przy skale i wchodzę ostatnim odcinkiem po kamieniach na szczyt.

Tuż pod szczytem mijam spory kawałek starego drewna. Ewidentnie pozostałość po krzyżu, który na wierzchołku kiedyś był, ale już go tam nie ma. Nie znalazłem też książki wpisów. Tak piękny i wymagający szczyt i tak niedoceniony! Na byle pipantach Austriacy ustawiają imponujące krzyże, a tu jedynie

nieforemna kupka kamieni pomazana farbą. Jestem tak roztrzęsiony, że nawet nie zrobię temu kopczykowi zdjęcia. Fotografuję natomiast kozicę, która pomyka po bocznym ramieniu odchodzącym z grani w kierunku zachodnim. Obecność zwierzęcia mnie uspokaja. Nie wiem od kiedy, chyba od zawsze obecność zwierząt w górach postrzegam jako dobry znak. Myślę, że nie raz uratowało mi dupę samo to, że zobaczyłem ich ślady i podniosło mi to morale w trudnej chwili.

Rejestruję również, że na grani po drugiej stronie szczytu są kopczyki z kamieni. Czyżby droga była chodzona również od tamtej strony? To, że jest do przejścia to wiem, bo znalazłem jeden jedyny taki opis w Internecie. Nawet miałem ciche pragnienie dokonać takiego trawersu i zejść z drugiej strony przez tzw. Rotkarle. Nie chciałem jednak przekombinować, bo choć grań w dalszej części zapowiada się ciekawie, to wyszukiwanie drogi na pokrytych kruszozną nieprzetartych zboczach może się potem skończyć nerwówką.

Strach przed pokonaniem grani w drodze powrotnej powoduje, że tłumię wszelką ciekawość i zaczynam „uciekać” (powiedziałbym nawet, że spier...lać). Na wąskim siodełku wybieram wariant „po wiszących skałach” zakładając po prostu, że polecą kiedy indziej, ale nie dziś. W dalszej części idzie już bardzo gładko. Tylko w jednym miejscu, gdzie skierowałem się na prawo, a powinienem przejść górą, natrafiłem na wyjątkowo emocjonujący moment. Ach, gdyby ktoś był i zrobił mi wtedy zdjęcie! Mając setki metrów ledwo co nachylonej skały pod sobą stąkam po stopniach wielkości co najwyżej połowy podeszwy. Ręce nie mają czego chwycić więc przytułam się do skały. 1, 2, 3 kroczyki i już jestem z powrotem na właściwym szlaku. Próbuję to miejsce, które przeszedłem sfotografować, więc opieram się o skałę i widzę przy twarzy tabliczkę upamiętniającą czyjąś śmierć w tym właśnie miejscu.

Dalsza droga przebiegła ekspresowo, a obawy przed powrotem okazały się nieuzasadnione. Zaczynam na to wszystko zupełnie inaczej patrzeć. Zdaję sobie sprawę, że podświadomie szukałem

trudności i problemów, co wynikało z zakodowanego strachu przed tą górą. Po wejściu na szczyt i zejściu na przełęcz wszystkie trudności wydały mi się mniejsze. Poszedłbym tam raz jeszcze!

Bo wszystko tkwi w głowie...

06:20 – start z namiotu (3000), przejście przez Ramoljoch i zejście z drugiej strony
07:45 – na przełęczy przy wejściu na grań Ramolkogela
08:53 – na szczycie Großer Ramolkogel (3550)
09:50 – z powrotem na przełęczy

Droga przez cały niemal czas wspinaczkowa (II). Trochę ruchomej skały ale będąc uważnym naprawdę kawał dobrej zabawy. Przed samym szczytem po przejściu na lewą stronę grani między dwoma wielkimi blokami skalnymi (szczelina szerokości człowieka) trzeba dostać się na małe siodełko pokryte żwirem i piachem. Dla mnie to miejsce było bardzo problematyczne, gdyż trzeba było przejść po (lub pod) dwoma blokami skalnymi. Jeden z tych bloków opierał się na drugim, a ten drugi wyglądał, jakby się opierał na niczym. Być może znalazłby się inny sposób na pokonanie tego miejsca. Ja wybrałem taki wariant, który w razie upadku dawał mi jeszcze jakieś szanse. Idąc od prawej strony lub przez czubek żandarma odpadnięcie bez asekuracji mogło skończyć się w jeden tylko sposób.

Droga obita (prawdopodobnie dopiero co), liczne punkty do asekuracji w postaci spitów, pętelek z repa oraz co najmniej jedno stanowisko. W moim przypadku będąc sam i bez liny nie byłem w stanie takiego wariantu przetestować.

Na podejściu do grani oraz w zejściu przydatne raki. Czekan zbędny. Kasku nie zabierałem, ale zawsze lepiej mieć, bo gdyby były inne zespoły to mogliby strącać na głowę kamienie. Ja tego dnia mimo pięknej pogody nikogo nie spotkałem.

Przy słonecznej pogodzie wystawa powoduje, że skała momentalnie staje się sucha.

Po ochłonięciu na przełęczy i odczytaniu paru wiadomości od chłopaków z pracy, które zdecydowanie wpawiły mnie w dobry humor, poszedłem na Anichspitze (3428). Jaki szczyt, takie wejście, czyli trwające góra 15 minut. Wybitność szczytu jest mała, ale jego dostępność i widoczność z każdej niemal strony powoduje, że stał się łatwym kąskiem dla osób przybywających do Ramolhaus. W odróżnieniu do Großer Ramolkogel na szczycie znajduje się imponujący krzyż z czystą, zadbaną książką wpisów.

Anichspitze (3428) to właściwie jedynie mało wybitny wierzchołek tuż przy drodze na Großer Ramolkogel. z przełęczy dostępny jest w zaledwie 15 minut. Zejść (lub wejść) można też inną granią, skierowaną prosto na schronisko Ramolhutte. Drogi łatwe, spacerowe, jednak samo podejście pod każdą z grani wymaga pokonania tego, co pozostało z lodowca Ramolferner. Zatem raki i czekan zawsze lepiej ze sobą mieć, dla komfortu psychicznego. Na szczycie krzyż i książka wpisów.

Ponieważ w południe byłem już z powrotem w namiocie, na spokojnie się spakowałem i popołudniu byłem z powrotem przy aucie w Vent.

13.07.22 – dzień 3: Vorderer Brochkogel (3565)

Nie chcąc spać w środku miejscowości podjechałem kilkaset metrów na parking przy wjeździe do Vent. Parking podobnie jak przy kolejce kosztuje jedynie 5€ za dobę, co nie jest wysoką ceną jak za spokojną okolicę z dostępną łazienką z ciepłą wodą. Łazienka znajduje się w budynku informacji turystycznej, lecz jest dostępna całą dobę (wejście do niej jest osobne, trzeba tylko zejść po schodkach). Wokół mnie zaparkowały kampery, w których również spali ludzie. Na parkingu jest znak

Kein Kemping, ale zakładam, że spanie w aucie bez rozkładania namiotów jest tam czymś tolerowanym.

Tak, jak pierwszego dnia wysokość dała mi o sobie znać obniżając moją sprawność, to drugiego, na Ramolkogel, czułem się już świetnie. Założyłem (trafnie), że trzeciego dnia będę już fruwał, więc Brochkogel chciałem zrobić w trybie „ninja” (podczas pisania podszedł syn i koniecznie chciał napisać to słowo na klawiaturze i żebym je użył w relacji, więc tak powstała nowa nazwa dla stylu).

Bez wahania decyduję się na oszustwo i użycie wyciągu krzesełkowego, który mnie wywiezie na wysokość 2354 m (Stebblein). Urywam w ten sposób nieco ponad 400mH. Dwukrotnie wchodziłem na Wildspitze pokonując trasę w całości na nogach, więc nie widzę wartości dodanej w robieniu tej trasy po raz kolejny. Poza tym podjąłem już decyzję, że dziś zacznę wracać w kierunku domu, więc pasuje mi zachować nieco więcej sił i czasu na jazdę autem.

Ninja-Style:

08:00 – start krzesełka z Vent
08:20 – wyruszam ze Steblein (2354)
09:00 – schronisko Breslauer Huette (2844) i 5 minut odpoczynku
10:42 – wierzchołek z dużym krzyżem
10:47 – główny wierzchołek Vorderer Brochkogel (3565)
12:18 – ponownie przy schronisku (2844)
13:10 – zeskakuję z krzesełka w Vent

Do samego podejścia na przedwierzchołek trasa jest łatwa i dobrze oznaczona. Pod koniec przez chwilę stromo w osypującym się terenie. Jedyne zagrożenie, jakie tu występuje to to, że może nam wpaść kamyk do buta (nie uwzględniam przypadkowego skręcenia nogi, podobnie jak można się przewrócić wychodząc z zakupami z Biedronki). Na przedwierzchołku duży, stalowy krzyż. I teraz najlepsze:

przejście po ostrym fragmencie grani na wierzchołek główny. W pierwszej chwili wygląda strasznie, szczególnie pochyłe płyty po prawej. Ale po podejściu bliżej okazuje się, że jest to kwestia ostrożnego przejścia po lewej stronie, bez wielkich akrobacji. Idąc z powrotem pasowało mi jednak przejść nad szczybą w grani robiąc duży krok. Przypomniałem sobie wtedy, że w jakiejś relacji też było to tak opisane: „jedyna trudność to ten jeden duży krok”.

Orientacyjnie łatwy teren (oczywiście nie we mgle), bezpieczny. Dobry szczyt na początek przygody z Alpami. Całość z małym plecaczkiem, w plecaczku kurtka, batonik i isotonic. To naprawdę wszystko.

Ach jeszcze tam rajtuzy miałem bo rano jak wstałem było chłodno. Zdjąłem w Steblein i resztę przebiegłem w koszulce z krótkim rękawem i czapce z daszkiem.

W czwartek mógłbym wejść na Talleitspitze... Ale rano ma padać, a mokrej skały to ja nie lubię. Poza tym Talleita to ja się tylko troszkę mniej boję od Ramola. I wiem co mówię, bo kiedyś zawróciłem z Asią spod samego szczytu. Więc jeśli nastąpi powtórka to jedynie w następnym odcinku. Plan wykonany – 6 szczytów w 3 dni i mogę spokojnie wracać do domu.

c.d.n.

tekst: Dziku

zdjęcia: Dziku

16.07.2022